
Rok 1938 : cz. 2

Palestra 40/7-8(463-464), 143-160

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



”Palestra” przed laty

Rok 1938 – cz. II

Jan Ruff

Dyscyplina Adwokatury

Art. 67 Prawa o ustroju adwokatury powiada: „Adwokat jest powołany do obrony prawa i słuszności; powinien obowiązki swego zawodu spełniać sumiennie i gorliwie, mając na względzie dobro Państwa; dla sądów, urzędów i organów adwokatury mieć poszanowanie, strzec powagi i godności stanu, kierując się zasadami honoru i koleżeństwa.”

Syntetyczna treść przepisu ustawy mieści w sobie najbardziej elementarne zasady etyki zawodowej palestry; ogół zaś norm i zwyczajów, stanowiących żywą wykładnię tego przepisu tworzy dyscyplinę adwokatury.

Przestrzeganie jej należy do rzędu podstawowych obowiązków adwokata; czuwanie nad jej zachowaniem, doskonaleniem i rozwojem, nad krzewieniem i realizowaniem, a wreszcie nad wiązaniem jej ze zmiennymi i płynnymi warunkami i okolicznościami życiowymi – wchodzi w zakres działalności samorządu adwokackiego.

Czy wykonywanie zawodu adwokackiego wymaga specjalnej dyscypliny korporacyjnej i czy wyrazem tej dyscypliny musi być troska o poziom etyczny członków korporacji, wyższy i surowszy od etyki pozostałych obywateli?

Minęły zdaje się bezpowrotnie czasy, w których uważano instytucję adwokatury za niedającą się pogodzić z moralnym poczuciem społeczeństw, wśród których ona istnieje. – Platon w idealnym Państwie nie udzielił miejsca adwokatom, Morus, roztaczając obraz szczęśliwego życia mieszkańców Utopii, usunął z niej adwokatów. – W czasach znacznie nam bliższych znaleźli się autorzy, którzy uważali, że gdy sędzia i prokurator dążą do tryumfu prawa, adwokat – tylko do pieniędzy. – Inni widzieli w adwokacie uosobienie cynizmu i sprzedajnej przewrotności. – Nie tak dawno nawet jakiś anonimowy autor, pozwolił sobie na złośliwą napaść i aluzję do szarfy i emblematu, jaki stanowił dopełnienie stroju urzędowego naszej adwokatury.

Powiadam, że czasy te minęły: życie wykazało niesłuszność zarzutów, a podnoszące się niekiedy z ukrycia głosy napaści wywołują tylko niesmak

lub pogardę. Można by zresztą tym głosem przeciwstawić opinie ludzi tak wielkich i zażywających nieśmiertelnej sławy w Panteonie ludzkości, że samo imię ich stanowi tarczę osłaniającą skutecznie stan adwokacki. – Wystarczy powołać choćby Bruyera, d’Aguesseau, Woltera, Moliera, Bellarta, Thibeaudeau...

Trafnie przeto powiada b. dziekan Chełmoński: „zawód adwokata jest dlatego tak trudny, że granice pomiędzy wykonywaniem adwokatury – jako posłannictwa obrony prawa z jednej strony, a jako najmu usług w kierunku li tylko obrony interesów poszczególnych osób – z drugiej – kreśli wyłącznie sumienie adwokata”.

Sumienie adwokata jest tą najpierwszą księgą zasad etycznych, do której zwracać się musi przede wszystkim adwokat. Zanim głos zabierze przez swe właściwe organa korporacja lub zanim zwyczaj i poczucie moralne napiętnują jakiś czyn – do własnego sumienia odwołać się musi adwokat i zważyć w nim, czy konkretne postępowanie jego da się pogodzić z poziomem etycznym zawodu, z jego honorem, godnością i posłannictwem.

Cel i zadania adwokatury ujęte są w lapidarną treść art. 67 Prawa o ustroju i w uroczystą, prawie sakralną rotę przysięgi adwokackiej (art. 65 pkt. 1). Oba te przepisy dają nam również odpowiedź, że zespołowi uprawnień i obowiązków zawodowych odpowiadać musi specjalny klimat moralny adwokatury: – wyższy od przeciętnego i bardziej od niego wrażliwy i delikatny. – W doskonaleniu i pogłębianiu rygorów etyki zawodowej, tego praktycznego idealizmu korporacji, adwokatura znacznie wybiegła poza linie zakreślone ogólną dyspozycją ustawy. Można powiedzieć, że sama, z własnej woli i nieprzymuszona, zacieśniła więzy etyczne i w bezustannej trosce o umocnienie ich, uczyniła z zawodu adwokackiego posłannictwo społeczne, stając częstokroć wyżej ponad swój obowiązek.

Jak nurt bystry rzeki, z pokolenia w pokolenie przepływa niezmiennie ideał etyczny adwokatury, z pokolenia w pokolenie jak artykuły wiary przekazywany i doskonalony, utrwalany w tradycji i z tradycji tej czerpiący jak z niewysychającego źródła podjęte w bezustannym dążeniu do doskonałości.

„Uczucie i popędy jednostki – powiada filozof – zależą od natury, warunków etycznych i spuścizny całego gatunku. Prócz tego... zostaje ona wprowadzona za pomocą rozwoju i wychowania w pewną duchową atmosferę... W sądach etycznych, w silnych wybuchach uczuć, wyrażających ocenę ludzkich czynów, wypowiada się nie tylko pogląd danego osobnika, lecz w y n i k d o ś w i a d c z e ń c a ł e g o g a t u n k u. Etyka istniejąca w gatunku, jest warunkiem zdrowia i siły życia ludzkiego”. (...)



Stanisław Gombiński

Victor Hugo a kara śmierci

Jedną z kar równie dawnych, jak samo prawo karne, jest kara śmierci; napotyka się ją u wszystkich narodów, we wszystkich epokach. Jeżeli nawet pewne zasadnicze zagadnienia prawa karnego dawno już poczęły poruszać umysły filozofów, „problem” kary śmierci jest stosunkowo świeżej daty. Starożytność nie zna żadnych na temat tej kary wątpliwości, nie zna ich średniowiecze: dopiero w XVI wieku zjawiają się pierwsze oznaki reakcji, zmierzające narazie do ograniczenia zbyt częstego stosowania tej kary. Głosy te potężnieją, stają się coraz liczniejsze: jednak sama zasada kary śmierci nie jest przez nikogo atakowana, wszyscy uznają jej niezbedność.

Zgodni są w tym względzie i Monteskiusz i Encyklopedyści i nawet Rousseau. „Kara śmierci jest jakgdyby lekarstwem dla chorego społeczeństwa” – pisze Montesquieu. „Przestępca jest zdrajcą ojczyzny; łamiąc jej prawa, przestaje być człowiekiem, jest w stanie wojny z ojczyzną. Jeżeli więc zostaje przez przewód sądowy i przez wyrok napiętnowany, winien być z niej usunięty przez wygnanie, lub przez karę śmierci, jako wróg publiczny” – mówi Jan Jakub.

Za pierwszego, który się odważył naruszyć to tabu, uświęcone wielowiekową praktyką, poddać w wątpliwość samą zasadę tej kary, oświadczył, że kara śmierci jest bezprawną – uchodzi markiz Cezar Beccaria, autor „*Dei Delitti e delle Pene*” (1764). Dwie tezy stanowią podstawę jego rozumowania: pierwsza – że prawo wymierzania kary śmierci nie istnieje, ponieważ nikt, zawierający umowę społeczną, nie ustąpił społeczeństwu prawa do dysponowania jego życiem. Teza ta natychmiast znalazła namiętnych przeciwników, którzy, występując przeciwko teorii „*contrat social*”, zbijali również twierdzenie Beccarii. Wśród nich w pierwszym rzędzie należy wymienić Kanta.

Druga teza Beccarii – to twierdzenie, że stosowanie kary śmierci winno być normowane względami na pożyteczność i skuteczność tej kary. Beccaria oświadczył, że kara śmierci winna być stosowana tylko wtedy, gdy nie ma innego środka dla odstraszenia i n n y c h od popełniania przestępstw, ale, dodaje natychmiast, „doświadczenie wieków wskazuje, że kara śmierci nigdy nie powstrzymała zbrodniarzy od przestępstw”. Ponadto może ta kara być konieczną, zdaniem Beccarii, tylko w okresie przejściowym, pełnym wstrząsów, gdy naród jakiś odzyskuje, lub traci swą wolność.

Przy porównaniu tych dwóch tez Beccarii rzuca się w oczy ich rażąca niewspółmierność. Gdy pierwsza dotyczy zagadnienia podstawowego: czy

kara śmierci ma swoje uzasadnienie i jest w ten sposób zagadnieniem filozofii prawa karnego, druga odnosi się raczej do polityki karnej; rozdzielić je jednak nie sposób, gdy obie – każda w inny sposób – tworzą dwie strony jednego zagadnienia, dwie strony nierozzerwalnie ze sobą złączone.

W związku z przemianami społecznymi i politycznymi to jedna, to druga z tez Beccarii (oczywista odpowiednio zmodyfikowane i uwspółcześnione) nadawały i nadają barw zagadnieniu. Od rewolucji lipcowej 1830 roku do trzeciego dziesiątka lat bieżącego stulecia, czyli przez cały wiek, pierwsza teza Beccarii zyskuje coraz większe uznanie; myśliciele, publicyści, pisarze, dążą do zniesienia kary śmierci, w szeregu krajów europejskich osiągając swój cel.

Te wszystkie „za” i „przeciw” karze śmierci były podnoszone w Komisji Kodyfikacyjnej. W czasie dyskusji nad zasadniczym zagadnieniem: czy należy wprowadzić karę śmierci do przyszłego Polskiego Kodeksu Karnego (Styczeń 1920) dały się słyszeć głosy,

„że pojęcie kary śmierci nie godzi się zasadniczo z pojęciem kary w ogóle, albowiem kara śmierci jest niepodzielna, bezwzględna i nieodwołalna i że jest to tylko surogat kary, który ma dotkliwe braki; z drugiej strony kara śmierci jest aktem koniecznej obrony społeczeństwa przeciwko zbrodniarzowi, najskuteczniejszym środkiem prewencji szczególnej, a zarazem i ogólnej, bo szerzy grozę i dzięki temu odstrasza, jest więc najlepszym środkiem odstraszenia, najskuteczniejszą obroną od najcięższych zbrodni” (prof. Krzymuski);

„że kara śmierci przeczy zasadniczym wymogom kary” (prof. Rapaport);

„że kara śmierci zmusza do stosowania absolutnego wymiaru kary, nie pozostawiając miejsca dla indywidualizacji, z drugiej zaś strony łączy ona w sobie dwa czynniki: karę i zabezpieczenie od sprawcy. Utrzymywanie tej kary, zwłaszcza w stosunku do zawodowych przestępców, jest postulatem społecznego instynktu samozachowawczego” (prof. Makarewicz).

Najmocniejsze słowa przeciwko karze śmierci w czasie tej dyskusji padły z ust. b. prezesa S.N., adw. Mogilnickiego. „Nie godzi się z mocy wyroku zabijać; na śmierć może skazać tylko sędzia, któryby się zdecydował sam, własnoręcznie ten swój wyrok wykonać”.

Niniejszy artykuł nie ma na celu obrony jednej, czy drugiej tezy, nie zmierza nawet do zobrazowania walki zwolenników kary śmierci z jej przeciwnikami. Chodzi tu o przedstawienie pewnego incydentu z tej walki, który – ze względu na osobę szermierzą – uważaliśmy za ciekawy.

Jeszcze słów kilka pro domo nostra. Jeżeliśmy wyżej pisali, że Beccaria jest uważany za pierwszego abolicjonistę (donośnie: niesłusznie) to dlatego, że blisko 250 lat wcześniej miał on w Polsce swego prekursora. Około 1520 roku Bernard z Lublina, jeden z pierwszych pisarzy politycznych polskich, tak pisał o karze śmierci:

„Sędzie nie może nikogo na śmierć skazywać, bo nikt mu tej władzy nie dał. Bóg kazał żyć człowiekowi i nie dał nikomu niszczyć swoje dzieło;

człowiek może człowiekowi przeszkodzić, źle czynić, ale nie odebrać mu życia, które jest pod opieką, ale nie jest własnością rządu”.

Czy słowa te nie brzmią, jakgdyby były pisane w 1938 roku?

Victor Hugo był zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci; temu przekonaniu dał, w przeciągu swego długiego życia, niejednokrotnie wyraz.

W 1848 r. Wiktor Hugo wygłosił, w sprawie zniesienia kary śmierci, przed Zgromadzeniem Ustawodawczym następujące przemówienie:

„Żałuję, że ten problem, pierwszy być może, zjawia się na porządku dziennym Waszych obrad, panowie, tak nagle, i, być może, zaskoczy niektórych mówców nieprzygotowanych. Ja chciałem tu wyrzec tylko kilka słów, słów głębokiego i trwałego przekonania.

Przed chwilą uświęciliście panowie nienaruszalność domowego ogniska Francuzów; przychodzimy z żądaniem, byście uświęcili nietykalność ważniejszą i świętszą. Nietykalność życia ludzkiego.

Panowie! Konstytucja, a zwłaszcza konstytucja uchwalona przez Francję i dla Francji, musi być krokiem naprzód w rozwoju cywilizacji. Jeżeli nim nie jest, jest niczym.

A teraz, pomyślcie panowie: czym jest kara śmierci? Ta kara jest charakterystyczną i niezawodną oznaką barbarzyństwa. Wszędzie, gdzie kara śmierci jest często stosowana, barbarzyństwo triumfuje; wszędzie, gdzie tę karę spotyka się rzadko, cywilizacja rządzi. (Poruszenia na ławach poselskich).

Panowie, to są fakty niewątpliwe. Złagodzenie systemu kar stanowi poważną i znaczną oznakę postępu. Osiemnasty wiek – jest to jednym ze źródeł jego chwały – zniósł tortury; dziewiętnasty zniesie karę śmierci.

Możliwe, że jej nie zniesiecie dzisiaj; ale wierzajcie mi, zniesiecie ją jutro, albo wasi następcy ją zniosą.

Rozpoczęliście ustawę konstytucyjną od słów: „W obliczu Boga”, i zaczynacie od odebrania Mu, od odebrania Bogu tego prawa, które należy tylko do Niego; prawa życia i śmierci!

Panowie, istnieją trzy pojęcia, które należą nie do ludzi, a do Boga: nieodwołalne, niepowetowane, nierozewalne. Biada ludziom, gdy je wprowadzają do swych praw! Prędzej, czy później zginają one społeczeństwo do swych stóp, naruszają niezbędną równowagę praw i obyczajów, odejmują sprawiedliwości ludzkiej jej właściwe rozmiary i wtedy dzieje się to, pomyślcie o tym panowie, że prawo w sumieniach ludzkich przerażenie budzi.

Wstąpiłem na tę trybunę, by powiedzieć panom parę tylko słów, słów decydujących, według mnie. Oto one: po lutym* lud był przejęty jedną wielką myślą: nazajutrz po dniu, w którym spalił tron, chciał spalić szafot. Ci, którzy mieli wpływ na myśli ludu, nie dorośli, żałując tego niezmiernie, do wielkości jego serca. Nie dano ludowi tę piękną myśl wcielić w czyn.

* Luty 1848 roku – obalenie monarchii Ludwika-Filipa.

W pierwszym artykule konstytucji, którą teraz uchwalacie, uświęciliście pierwszą myśl ludu francuskiego: obaliliście tron. Teraz uświęćcie drugą: obalcie szafot!

Głosuję za zniesieniem całkowitym i ostatecznym kary śmierci. (Okrzyki uznania i potakiwania)''.

Kara śmierci została utrzymana w mocy 498 głosami przeciwko 216.

W trzy lata później, w 1851 roku, Wiktor Hugo znowu wystąpił przeciwko karze śmierci. Działo się to w następujących okolicznościach.

Niejaki Claude Montcharmont, kowal, mieszkaniec małej wioski w departamencie Saony i Loary, za jakieś drobne przewinienia został dwukrotnie skazany na krótkie kary pozbawienia wolności. Po opuszczeniu więzienia Montcharmont, uważając żandarmów wioskowych za winowajców jego kary, bez żadnego innego powodu zastrzelił dwóch żandarmów i ciężko poranił trzeciego. Stawiony przed sąd przysięgłych został on skazany na karę śmierci. Stracenie miało się odbyć 10 maja 1851 r. Lokalny dziennik „Courrier de Saone-et-Loire” tak donosił o egzekucji:

„Miasto nasze w przeciągu całego dnia żyło pod okropnym wrażeniem. Wczoraj, 10 maja, miała się odbyć egzekucja Claude’a Montcharmont. O 5 rano kat ze swym pomocnikiem chcieli wejść do celi skazańca, ale ten się zabarykadował. Wdarto się do celi; Montcharmont nie chciał się ubrać, płakał, krzyczał, a okropne jego wycia słyszano nie tylko w całym więzieniu, ale i w domach sąsiednich. Wreszcie ubrano go i związanego zawieziono na plac, gdzie odbyć się miała egzekucja. Gdy wprowadzano go na schodki, wiodące na szafot, udało mu się wczepić rękami i nogami w drewniane szczeble i bronić się z nieludzką siłą. Wtedy rozpoczęła się okropna walka. Napróżno kat ze swym pomocnikiem chcieli go oderwać: Montcharmont, którego siły wzrosły stokrotnie w tej chwili rozpacz, oparł się ich wysiłkom, głośnymi krzykami wzywając ojca i matkę i konswulsyjnie całując raz po raz krucyfiks, podawany mu przez czcigodnego kapłana.

W przeciągu pięćdziesięciu pięciu minut nieprzeliczony tłum w głuchym milczeniu przyglądał się tej walce, której opisać nie sposób. Kat i jego pomocnik złani potem, dyszący, pobladli ze wstydu, odprowadzili wreszcie Montcharmont’a, którego ramiona złane krwią świadczyły o walce, jaką stoczył, z powrotem do więzienia.

Gilotyna stała całą dobę: o wpół do 5-ej przybył kat z Dijon, wezwany przez prokuratora. Montcharmont został znowu związany, tym razem tak, że nie mógł zrobić żadnego ruchu. Zawleczono go na plac, na którym stały dwie kompanie wojska: wreszcie głowa Montcharmont’a spadła pod mieczem prawa.

Taki był koniec tego zbrodniarza, przed którym w ciągu miesiąca drżał cały powiat.

Montcharmont miał lat dwadzieścia dziewięć''.

W 5 dni po egzekucji, 16 maja, paryskie czasopismo „L’Evenement”, które oddawna prowadziło już zaciekle walkę przeciwko karze śmierci, zamieściło następujący artykuł, podpisany przez Karola Hugo, syna wielkiego pisarza.

Stracenie Montcharmont’a

„Cztery dni temu, na placu publicznym pewnego miasta Francji, wobec słońca i wobec cywilizacji, prawo czyli święta siła społeczeństwa, ujęło jakiegoś nieszczęśnika, który wyjąć w niebogłosy, wyrwał się wszelkimi siłami, chwyciło go za szyję, za ręce i nogi, ciągnęło za włosy, porozrywało mu ciało, by zawlec go na szafot. Cztery dni temu, przed głęboko przejętą ludnością, w ciągu całej godziny prawo walczyło ze zbrodnią.

Cóż uczynił ten człowiek społeczeństwu? Zabił. Co robiło z nim społeczeństwo? Torturowało go.

Zwolennicy kary śmierci, jakież był wasz cel, gdyście prowadzili na gilotynę tego nieszczęsnego zabójcę? Prawdopodobnie chcieliście pokazać wszystkim sprawiedliwość ludzką w całej jej sile i mocy; pozwalając ludziom przyglądać się kaźni zbrodniarza, chcieliście podnieść w umysłach tłumu poczucie prawa, dokonać aktu imponującego, uroczystego, groźnego.

Cóżście uczynili? Dopuszciliście się czynu gwałtownego, czynu okropnego, czynu pożałowania godnego. Zamiast przeciągnąć tłum na swoją stronę, popchnęliście wszystkich na stronę skazańca. Ten człowiek, który przed tym budził u wszystkich lęk i wstręt, stał się – dzięki wam – przedmiotem powszechnej litości. Z początku we dwóch, później we czterech, później nie wiemy już w ilu, staraliście się zabić tego człowieka, który nie chciał się dać zabić. Pierwszy kat nie potrafił spełnić zadania; sprowadziliście drugiego. Wreszcie, po dniu pełnym trudów i wysiłków, udało się wam go stracić; otarliście krew z waszego miecza i pot z waszych czoł.

Nie, nie byliście imponujący; nie, nie byliście uroczyści; nie, nie byliście groźni. Dobrze czy źle wykonana egzekucja nigdy nie przedstawia społeczeństwa w pięknych barwach; jaka by ręka tego nie dokonała, zabicie człowieka nigdy nie będzie nauką moralną; jakby wasze sądy i wasi sędziowie nie byli sumienni i prawi, nigdy, zabijając, nie potraficie udowodnić, że nie wolno zabijać. Prawo talionu dawno zostało potępione przez cywilizację współczesną; stosować to prawo – to wstrzymywać postęp, to odbierać społeczeństwu, sprawiedliwości i magistraturze szacunek i część, jakie powinny wzbudzać. Za każdym razem, kiedy zarządzacie egzekucję publiczną, prawo zostaje zepchnięte w szacunku całego narodu z tyłu stopni, na ile wstąpiło, idąc na szafot.

Jeżeli chcecie za wszelką cenę zachować waszą barbarzyńską karę śmierci, postępujcie jak w Ameryce: nie pokazujcie się! chowajcie się! Nie zapraszajcie całej Francji, całej prasy, wszystkich spojrzeń na te spektakle, nie zapraszajcie wszystkich umysłów na sąd nad wami, gdy te rzeczy robicie, kiedy wasi kaci

nie umieją nawet wykonać swej roboty, a wasze gilotyny są równie złe, jak wasze prawa!

My zaś pozostaniemy głęboko zasmuceni, przerażeni myślą o szkodzie, jaką odnoszą wszystkie tak wzniosłe i drogie idee, na których opiera się spokój publiczny; my protestujemy i protestować będziemy przeciwko tym obrazom z minionych stuleci, gdy społeczeństwo, zapominając o Ewangelii, ciągnie jakiegoś nieszczęśnika na kaźń okrutną i, prowadząc go, pokazuje mu obraz Chrystusa, obraz, na który samo nawet nie spojrzy!

Charles Hugo”.

Karol Hugo był podówczas młodym człowiekiem; urodzony w Paryżu w 1826 roku, po rewolucji z 1848 r. pracował w Min. Spraw Zagranicznych, jako sekretarz Lamartine’a i pisywał do „l’Evenement”. W tym czasie procesy prasowe były na porządku dziennym; Republika, która miała zginąć od zamachu stanu z 2 grudnia, dożywała swych ostatnich dni, istniała tylko na papierze.

Gdyby pod artykułem był inny podpis, sprawa może przeszłaby nieopstrzeżenie: ale nazwisko Hugo zwróciło uwagę. Karol Hugo został oskarżony o „*attaque contre le respect du aux lois*”.

Karol Hugo wraz z redaktorem odpowiedzialnym pisma zostali postawieni w stan oskarżenia przed sądem przysięgłych; rozprawa została wyznaczona na dzień 10 czerwca tegoż 1851 r.

Opinia publiczna została tą sprawą głęboko poruszona: i dlatego, że walka z karą śmierci była podówczas zagadnieniem dnia, lecz przede wszystkim ze względu na osobę oskarżonego, i na osobę jego ojca, jednego z najwybitniejszych przeciwników kary śmierci. Lecz zainteresowanie to wzrosło stokrotnie, skoro się dowiedziano, że przed sądem przysięgłych Paryża ojciec ma bronić syna*. Na 5 dni przed rozprawą Wiktor Hugo zwrócił się do przewodniczącego trybunału z prośbą o dopuszczenie go do sprawy w charakterze obrońcy oskarżonego Charles’a Hugo. Otrzymał na tę prośbę odpowiedź zezwalającą.

Sprawa była wyznaczona 10 czerwca na godz. 4 po poł., ale od wczesnego ranka tout Paris toczył się do sali sądowej: każdy chciał usłyszeć wielkiego poetę w roli obrońcy. O godz. 4-ej po południu przewodniczący, po wywołaniu sprawy Hugo i Erdan’a, postawił z początku oskarżonym zwykłe pytania, dotyczące ich personalii, po czym, zwracając się do poety, rzekł:

* Francuska procedura karna zezwala w pewnych wypadkach na wnoszenie obrony karnej przed sądem przysięgłych również nie adwokatom. Art. 295 Kod. Proc. Kar. brzmi: „Le conseil de l’accusé ne pourra être choisi par lui ou designé par le juge que parmi les avocats ou accusés [?] de la cour ou de son ressort, à moins que l’accusé n’obtienne du président de la cour d’assises la permission de prendre pour conseil un de ses parents ou amis”. Drugi taki głośny wypadek wnoszenia obrony przed sądem przysięgłych przez nieadwokata miał miejsce w epoce sprawy Dreyfusa, kiedy to Emila Zolę, oskarżonego o obrazę rządu i armii w słynnym liście otwartym „J’accuse”, bronił lekarz, dr. med... Georges Clemenceau.

„Wiktorze Hugo, proszę się podnieść. Prosił pan o zezwolenie na wnoszenie obrony syna: to zezwolenie zostało panu udzielone. Jest naszym obowiązkiem przypomnieć panu, że, stosownie do art. 311 kod. procedury karnej, nie wolno panu niczego powiedzieć, co by nie było w zupełnej zgodzie z pańską świadomością i pańskim sumieniem, nie wolno panu w niczym naruszyć poszanowania, należnego prawom, i winien się pan wyrażać skromnie i powściągliwie”.

Po krótkim przesłuchaniu oskarżonych przewodniczący udzielił głosu oskarżycielowi publicznemu, prokuratorowi Suin. Prokurator zajął się przede wszystkim ustaleniem istoty przestępstwa, zarzucanego Karolowi Hugo. Podkreślił on, że nie chodzi bynajmniej o zasadę, czy kara śmierci jest słuszna, czy nie – wspominał tu o walce przeciwko tej karze, jaka się we Francji, i z powodzeniem, od stu lat już toczyła; podstawę przestępstwa i oskarżenia stanowi artykuł Karola Hugo, jego język gwałtowny i przekraczający dozwolone granice. Zwrócił on uwagę sędziów na zakończenie artykułu, na porównanie gilotyn z prawami i dodał, że w jednym z późniejszych numerów „l'Evenement” ukazał się artykuł o sprawie, zawierający następującą wzmiankę:

„Jednak nie byłoby właściwe, żeby miejsce oskarżyciela publicznego w tej sprawie zajmował zwykły prokurator; prosimy wielce szanownego p. Suin o ustąpienie na ten raz miejsca naszemu jednemu przeciwnikowi: prawdziwym przedstawicielem rządu w tej sprawie winien być kat!”.

Prokurator Suin wspominał wreszcie, że w 1836 roku podczas debaty nad karą śmierci w Izbie wystąpił przeciwko niej Lamartine; forma tego wystąpienia była jednak taka, że nawet przeciwnicy musieli mu oddać należne uznanie. Prokurator zakończył swą mowę słowami, od których Lamartine owo przemówienie rozpoczął:

„Zanim ustawodawca może z pewnej idei, z pewnego przekonania zrobić ustawę, wolno jest, a nawet należy, by filozofowie te idee omawiali. Bowiem, jeśli się ustawodawca pomyli, jego omyłka całym swym ciężarem pada na społeczeństwo, a można zabić społeczeństwo zasadami i ideami, tak, jak błędami i zbrodniami. Należy wziąć pod uwagę epokę, obyczaje społeczeństwa, jego przyzwyczajenia; pomyśleć trzeba, że społeczeństwo, to twór, gdzie tradycja gra znaczną rolę, twór, do którego podnieść można rękę tylko z drżeniem i wielką ostrożnością; pomyśleć trzeba, że jeden kamień, strącony przed czasem, może zmiażdżyć w swym spadku cywilizację. Waszym obowiązkiem jest wskazać społeczeństwu, które prawa uważamy za złe, ale nie przeklinać je. Rada, któraby uczyła, że trzeba się buntować przeciwko złym prawom, byłaby zaprawdę mniej korzystną dla świata, niż ta, która poleca posłuszeństwo i poszanowanie praw”.

Poczem przewodniczący udzielił głosu Wiktorowi Hugo.

„Panowie sędziowie przysięgli. Po pierwszych słowach pana prokuratora przez chwilę wierzyłem, myślałem, że zrzeka się on oskarżenia. Ale to

złudzenie niedługo trwało. Oskarżenie, po daremnych wysiłkach ścieśnienia terenu spornego, zostało przez sam charakter tematu wciągnięte na szersze wody, i – może nawet wbrew woli oskarżyciela – zagadnienie ukazało się w całej swej okazałości. Nie mam zamiaru uskarżać się na ten stan rzeczy.

Za chwilę przystąpię do zarzutów oskarżenia, ale przedtem musimy się porozumieć co do znaczenia pewnego wyrażenia. Dobre definicje tworzą dobre dyskusje. To wyrażenie: respect, du aux lois (respekt, należny prawom), stanowi podstawę oskarżenia; co ono właściwie oznacza? jakie jest jego prawdziwe znaczenie? jaki ma zamiar? Niewątpliwie, i nawet pan oskarżyciel publiczny nie zamierza, jak sądzę, mi w tym względzie oponować, niewątpliwie to wyrażenie nie może oznaczać zniesienia – pod pozorem poszanowania – wszelkiej krytyki praw. To wyrażenie oznacza respekt, jaki należy mieć wobec wykonywania ustaw. Nic innego. Zezwala ono na krytykę, zezwala na ganieńnię nawet; widzimy przykłady tego codziennie w Izbie, miejscu, skąd wyszła konstytucja, która przecież jest ponad ustawami. To wyrażenie zezwala na domaganie się od władzy ustawodawczej, by zniosła jakąś niebezpieczną ustawę; to wyrażenie zezwala nawet na wznoszenie moralnych barier, moralnych przeszkód jakiejś ustawie; nie zezwala na przeszkody materialne. Nie przeszkadzajcie w wykonywaniu prawa, nawet złego, nawet niesprawiedliwego, nawet barbarzyńskiego; oskarżajcie je przed opinią publiczną, przed ustawodawcą, ale nie przeszkadzajcie w wykonywaniu go. Mówcie, że ono jest niesprawiedliwe, że jest barbarzyńskie, ale nie przeszkadzajcie w wykonywaniu go. Krytyka – tak; bunt – nie. Oto jest sens rzeczywisty, sens jedyny tego wyrażenia ustawy; respekt, należny prawom.

Bo należy, panowie, zważyć też jeszcze jedno: w tym trudnym zadaniu, jakim jest opracowywanie ustaw, zadaniu, które obejmuje dwie funkcje: funkcję prasy, która krytykuje, komentuje, wyjaśnia, i funkcję ustawodawcy, który decyduje – w tym trudnym zadaniu pierwsza funkcja, krytyka, byłaby, przy innym rozumieniu tego wyrażenia, sparaliżowana, a w następstwie i drugą spotkałby ten los. Prawa nie byłyby krytykowane, wobec tego nie byłoby żadnych podstaw do ich zmiany, do ulepszania ich. Zgromadzenie Ustawodawcze byłoby zbyteczne, możnaby je zamknąć. A przecież – jak sądzę – do tego się nie dąży.

To wyjaśnwszy, usunąwszy wszelką dwuznaczność wyrażenia ustawowego, wkraczam w sedno sprawy.

Panowie sędziowie przysięgli. Istnieje w tym, co możnaby nazwać starym kodeksem europejskim, jedno prawo, które od blisko stu lat wszyscy filozofowie, wszyscy myśliciele, wszyscy prawdziwi mężowie stanu chcieliby usunąć z szacownej księgi sprawiedliwości powszechnej; prawo, które Beccaria nazwał bezbożnym, a Franklin ohydny (a mimo to obeszło się bez procesów przeciw nim); prawo, które, przytłaczając szczególnie tę część ludu, która ugina się pod ciężarem nędzy i niewiedzy, jest nienawistne dla demokracji, ale nie jest ani o odrobinę mniej gorąco zwalczane przez

rozumnych konserwatystów; prawo, o którym król Ludwik-Filip – wypowiadam to imię z całym szacunkiem, należnym nieszczęściom ostatnich lat jego życia i grobowi wygnańczemu – o którym ten król mawiał: „Nienawidziłem je przez całe moje życie!”; prawo, przeciw któremu pisał p. de Broglie, pisał p. Guizot, prawo, którego zniesienia żądała jednogłośnie Izba Deputowanych w październiku 1830 roku, i które w tymże czasie zostało zniesione przez półdziki parlament w Otahiti; prawo, które zostało uchylone przez Zgromadzenie Narodowe we Frankfurcie przed 3 laty, i które, na wniosek deputowanego Karola Bonaparte, Konstytuanta rzymska przed dwoma laty uznała za zniesione „raz na zawsze”; prawo, które nasza Konstytuanta z 1848 r. utrzymała z bolesnym wahaniem i z jeszcze bardziej zasmucającą niechęcią; prawo, którego istnienie w chwili, kiedy mówię te słowa, jest zagrożone przez dwa wnioski, złożone w Izbie; prawo, którego Toskania nie chce, którego Rosja nie chce i którego, czas już najwyższy, żeby i Francja nie chciała; tym prawem, przed którym sumienie ludzkie uczuwa coraz większy lęk i coraz większy wstręt, jest kara śmierci.

I oto, panowie, to prawo jest przedmiotem dzisiejszego procesu; ono jest naszym przeciwnikiem. Przykro mi to powiedzieć panu prokuratorowi, ale ja je widzę za jego fotelem!

Przyznam, panowie, że od 20 lat wierzyłem – i dałem temu wyraz na niejednej karcie mych pism – wierzyłem, mój Boże! że gilotyna, gdyż trzeba już jej imię wymienić, zaczęła sama sobie zdawać sprawę, że czas jej już minął. Opuściła plac Grève, zrezygnowała ze słońca, z publiczności, nie dawała się okrzykiwać po ulicach, ani zapowiadać, jak jaki spektakl! Wykonywała swą robotę za rogatką St. Jacques, o brzasku dnia, w miejscu opustoszałym, bez publiczności. Zaczęła się kryć: rad byłem z jej wstydu.

Ale nie, panowie sędziowie. Myliłem się. Porzuciła ona ten fałszywy wstyd. Gilotyna czuje, że jest instytucją społeczną, jak to się dziś mawia. I kto wie, może ona także marzy o Restauracji.

Rogatka St. Jacques – to upadek. Może ujrzymy ją któregoś dnia na placu Grève, w samo południe, wobec licznego tłumu, z licznym orszakiem katów, żandarmów i heroldów, pod samymi oknami ratusza, pod tymi oknami, z których odważono się pewnego dnia – 24 lutego – tę gilotynę publicznie potępić i ją okaleczyć.

Tymczasem ona się podnosi. Czuje ona, że wytracone z równowagi społeczeństwo potrzebuje, celem okrzepnięcia, powrotu do wszystkich dawnych tradycji: ona również stanowi tradycję. Protestuje ona przeciwko demagogicznym deklamatorom, którzy się zwą Beccaria, Vico, Filangieri, Montesquieu, Turgot, Franklin, którzy się zwą Ludwik-Filip, którzy się zwą Guizot i de Broglie i którzy ośmielają się wierzyć i mówić, że maszyna do ścinania głów jest zbyt cenna w społeczeństwie, które Ewangelię ma za swą księgę!

Oburza się ona przeciwko tym anarchizującym utopistom. Nazajutrz po jej najbardziej krwawych i ponurych wyczynach chce, żeby ją podziwiać! Chce,

żeby jej okazywać szacunek! A jeżeli nie – oświadcza, że czuje się obrażona, ustanawia się, jako powód cywilny w sprawie i domaga się szkód i strat! (Śmiechy).

Przewodniczący: „Wszelkie oznaki potakiwania, zadowolenia czy niezadowolenia są zakazane. Te śmiechy są niewłaściwe w takiej sprawie”.

Krew, którą jest obłana, jej nie wystarcza; ona jest niezadowolona, żąda jeszcze grzywnien i więzienia!

Panowie sędziowie przysięgli, kiedy przyniesiono dla mego syna papierek urzędowy, wezwanie na ten, nie dający się określić proces – widzimy rzeczy dość dziwne w dzisiejszych czasach i trzeba się do tego przyzwyczaić – przyznam się panom, że osłupiałem ze zdumienia i powiedziałem sobie: Jakto? Już do tego doszliśmy? Jakto? Depcząc zdrowy sens, rozum, swobodę myśli i prawa naturalne już doszliśmy do tego, że żąda się od nas nie tylko respektu materialnego – ten jest niewątpliwy, ten powinniśmy okazywać i okazujemy – ale nawet respektu formalnego dla tych kar, które otwierają w sumieniach ludzkich przepaście, które o bladość przyprowadzają każdego, kto myśli, którymi się brzydzi religia, ta, co „abhorret à sanguine”; dla tych kar, które maczają palec w krwi ludzkiej, by napisać przykazanie boskie „Nie zabijaj!”, dla tych kar bezbożnych, które każą wątpić w ludzkość, kiedy dotykają winnego, i każą wątpić w Boga, gdy trafiają w niewinnego! Nie! Nie! Nie! Jeszcześmy do tego nie doszli! Nie!

Ponieważ już tak daleko zaszedłem, panowie sędziowie, muszę wam jeszcze jedno wyznać, i wtedy zrozumiecie, jak głębokim jest moje wzruszenie; właściwym winowajcą w tej sprawie, jeżeli jakiś winowajca istnieje, nie jest mój syn. Ja nim jestem.

Właściwy winowajca, ponowie, to ja! Ja, który od 25 lat zwalczam kary nieodwołalne pod każdą ich postacią! Ja, który od 25 lat broniłem w każdej sprawie i przy każdej sposobności zasady nienaruszalności życia ludzkiego! To przestępstwo, polegające na obronie nienaruszalności życia ludzkiego, ja je popełniałem jeszcze znacznie wcześniej przed moim synem i częściej od niego. Ja sam się oskarżam, panie prokuratorze! Popełniłem je ze wszystkimi okolicznościami obciążającymi; z premedytacją, z zaciekłym uporem, z nawrotem do przestępstwa, jako recydywista.

Tak jest. Oświadczam, że tę pozostałość barbarzyńskich kar, to stare i niemądre prawo talionu, to prawo wołające „krew za krew”, zwalczałem je przez całe życie – przez całe moje życie, panowie przysięgli! – i do ostatniej mej chwili, jak długo starczy mi tchu w piersiach, będę je zwalczał ze wszystkich moich sił, i jako pisarz i jako ustawodawca; oświadczam przed Nim, przed Tą Ofiarą kary śmierci (Wiktor Hugo wyciąga ramiona i wskazuje na krucyfiks, wiszący w głębi sali, nad trybunałem), który tu jest, który nas widzi i słyszy. Przysięgam przed tym Krzyżem, na którym przed dwoma tysiącami lat, na wieczną naukę przyszłych pokoleń, prawo ludzkie ukrzyżowało prawo boskie!

To, co mój syn napisał, napisał, powtarzam, ponieważ ja go tego uczyłem od dziecka, ponieważ, będąc moim synem z krwi i ciała, jest nim i z ducha, ponieważ chce on kontynuować tradycję ojca swego. Kontynuować tradycję ojca swego – oto nowe przestępstwo; dość dziwnym się wydaje, że i za to jest się ściganym.

Panowie! Wyznaję, że akt oskarżenia w sprawie niniejszej głęboko mnie martwi. Jakto? Jakieś prawo fatalne dostarcza tłumowi widowisk niebezpiecznych, niemoralnych, okrutnych, poniżających, zmierza do wzmożenia okrucieństwa wśród ludu, daje okropne, ponure rezultaty, i tych okropnych rezultatów nawet wskazywać nie wolno! Nie wolno ostrzec! I to się nazywa: nie mieć dla tego prawa respektu! I za to miałyby się być odpowiedzialnym przed organami sprawiedliwości! I za to miałyby się otrzymać tyle a tyle więzienia i tyle a tyle grzywny! A więc, dobrze. Zamknijmy Izbę, zamknijmy szkoły, nie jest możliwym żaden postęp, nazwijmy się Mongolią, czy Tybetem, nie jesteśmy już narodem cywilizowanym! Tak prędkiej wszystko pójdzie! Powiedzcie nam, że jesteśmy w Azji, że był kiedyś kraj, który Francją zwano, ale ten kraj już nie istnieje i że zastąpiliście go przez coś, co – przyznaje – nie jest monarchią, ale co napewno nie jest republiką!” (Okrzyki wśród publiczności).

Przewodniczący: „Przypominam moje ostrzeżenie i wzywam publiczność do uspokojenia się; inaczej będę musiał opróżnić salę.”

„Ale teraz przejdźmy do faktów i zastosujmy do rzeczywistości frazeologię aktu oskarżenia.

Panowie sędziowie! W Hiszpanii Inkwizycja była prawem. I oto, trzeba to przyznać, okazano nieposzanowanie Inkwizycji. We Francji tortura była prawem. Trzeba i to przyznać, okazano nieposzanowanie dla tortur. Odcięta pięść była prawem; ja sam okazałem nieposzanowanie dla topora! Rozpalone do białości żelazo było prawem; okazano nieposzanowanie dla tego żelaza. Gilotyna jest prawem: tak, przyznaję, okazano nieposzanowanie dla gilotyny.

A czy wie pan, panie prokuratorze, dlaczego? Powiem panu. Dlatego, że chciano zepchnąć gilotynę w tę samą przepaść, gdzie rzucono już, przy akompaniamencie oklasków ludzkości całej, rozpalone żelazo, odciętą pięść, tortury i inkwizycję. Dlatego, że marzy się o tym, aby z dostojnego i jasnego przybytku sprawiedliwości zniknęła ponura postać, która napętnia to miejsce mrokiem i lękiem. Ta postać – to kat!

Ach! ponieważ my tak chcemy, to my zagrażamy podstawom ładu społecznego! Tak, to prawda! Jesteśmy bardzo niebezpiecznymi jednostkami, my chcemy znieść gilotynę! To straszne!

Wy, panowie sędziowie przysięgli, jesteście niezależnymi obywatelami wolnego narodu; nie zniekształcając sprawy niniejszej, można i trzeba do was mówić również i pod politycznym kątem widzenia. A więc przemyślcie, panowie sędziowie, me słowa, i – ponieważ żyjemy w epoce rewolucyjnej – wyciągnijcie z nich konsekwencje. Gdyby Ludwik XVI-ty zniósł karę

śmierci, tak jak zniósł tortury, jego głowa by nie spadła. Rok 93-ci byłby pozbawiony błyszczącego ostrza gilotyny, byłoby o jedną krwawą karę w naszej historii mniej; okropna data 21 stycznia* nie istniałaby. Kto wtedy, wobec opinii publicznej, wobec Francji, wobec cywilizowanego świata ośmieliłby się wznieść szubienicę dla króla, dla tego, o którym by mówiono: „To on obalił szafot!”

Oskarża się redaktora „l'Evenement” o brak szacunku dla kary śmierci! Panowie, wznieśmy się nieco ponad sam tekst ustawy, budzący zresztą wątpliwości, i postarajmy się dotrzeć aż do tego, co jest samym dnem, oporą wszelkiego ustawodawstwa: do sumienia ludzkiego. Kiedy Servan – który był przecież naczelnym prokuratorem Sądu Apelacyjnego w Paryżu – kiedy Servan taką wymierzał ówczesnym ustawom karnym słuszną i sprawiedliwą ocenę: „Nasze ustawy karne otwierają wszystkie furtki oskarżenia, a zamykają prawie wszystkie obronie”; kiedy Wolter tak określił sędziów Calas’a: „Ah! nie mówcie mi o tych sędziach: połowa – to małpy, a druga – tygrysy!”; kiedy Chateaubriand w „Conservateur” nazwał ordynację wyborczą, dającą niektórym obywatelom więcej niż jeden głos, czyli ordynację o pluralnym systemie głosowania, prawem głupim i niesprawiedliwym; kiedy Royer-Collard, w Izbie Deputowanych, à propos jakiegoś prawa cenzury rzucił ten sławny swój okrzyk: „Jeżeli uchwalicie to prawo, przysięgam, że będę mu nieposłuszny” – kiedy ci ustawodawcy, urzędnicy, filozofowie, kiedy te wielkie umysły, kiedy ci ludzie, jedni wybitni, drudzy czcigodni, mówili tak – czego się dopuszczali? Okazali nieposzanowanie dla prawa, prawa miejscowego i chwilowego? Możliwe. Pan prokurator tak twierdzi. Ja tego nie wiem, ale wiem, że byli oni wiernym echem prawa praw, sumienia powszechnego! Obrażali oni sprawiedliwość, sprawiedliwość ich epoki, sprawiedliwość zmienną i zawodną? Nie wiem; ale wiem, że wołali oni o sprawiedliwość powszechną.

Wprawdzie dziś, uprzejmie nam o tym mówiono nawet w Zgromadzeniu Narodowym, wydanoby sprawiedliwości ateusza Woltera, niemoralnego Moliere, sprośnego La Fontaine’a, demagoga Jana Jakuba! Oto, co się myśli, oto, gdzie jesteśmy! Oceńcie to, panowie sędziowie przysięgli!

Panowie sędziowie, to prawo krytyki ustaw, krytyki szczególnie ostrej, gdy chodzi o ustawy karne, które mogą tak łatwo wycisnąć na obyczajach społeczeństwa piętno barbarzyństwa, to prawo krytyki, które znajduje się tuż obok obowiązku naprawy społecznej, to prawo pisarza, nie mniej święte niż prawo ustawodawcy, to prawo konieczne, to prawo wieczne – istnieje; wy, panowie sędziowie, uznacie to prawo, uwolnicie oskarżonych.

Ale oskarżenie twierdzi – i to jest drugi jego argument – że krytyka, zamieszczona w piśmie „l'Evenement” szła zbyt daleko, była za gorąca, za ostra. Ah, panowie sędziowie, przypomnijcie sobie ten fakt, który był

* 21 stycznia 1793 miało miejsce stracenie Ludwika XVI-ego.

powodem i przestępstwa i oskarżenia; zbliżcie się doń, uważnie mu się przypatrzcie.

Jakiś człowiek, jakiś skazaniec, jakiś nieszczęśnik, zostaje któregoś ranka zaciągnięty na plac publiczny. Tam stoi szafot. Człowiek buntuje się, walczy; nie chce umrzeć, jest taki młody, ma zaledwie 29 lat... Mój Boże! wiem, że mi się powie: „To był zbrodniarz!” Ale słuchajcie dalej! Dwóch katów chwyta go, ręce i nogi ma związane; on odpycha katów. Rozpoczyna się straszna walka; skazaniec wpycha swe związane stopy pomiędzy szczeble szubienicy, posługuje się szafotem w obronie przed nim. Walka trwa dalej, przerażenie ogarnia tłum. Kaci ze wstydem na twarzy, a potem na czole, bladzi, dyszący, przerażeni, zrozpaczeni – zrozpaczeni niewiedomo jaką strasliwą i ponurą rozpaczą – pochyleni pod ciężarem tego powszechnego wstrętu, który winien odnosić się tylko do samej instytucji, do kary śmierci, a pada – niesłusznie – na bierny jej instrument, na kata, – obaj kaci czynią jakieś dzikie wysiłki. Trzeba, by siła była po stronie prawa, to jest zasada. Człowiek kurczowo przywiera do szubienicy i błaga o łaskę; odzież na nim podarta, nagie ramiona opływają krwią; wciąż się jeszcze opiera. Wreszcie po trzech kwadransach (Poruszenie. Prokurator czyni przeczący ruch głową. Wiktor Hugo mówi dalej:) – tu się kwestionuje ilość minut; dobrze po 35 minutach, jeśli chcecie, po 35 minutach tych potwornych wysiłków, tego widowiska bez nazwy, tej agonii – agonii dla całego świata, pomyślcie o tym, panowie sędziowie, agonii dla patrzącego ludu, tak samo, jak dla skazanego – po tym wiek trwającym lęku odprowadza się, panowie sędziowie, skazańca z powrotem do więzienia. Lud odetchnął: lud, który zachował przesady starej ludzkości i który jest miłosierny, bo jest suwerenny, lud wierzy, że temu człowiekowi będzie uczyniona łaska. Ale nie. Gilotyna jest zwyciężona, ale stoi ona przez cały dzień, sterczy pośród poruszonego miasta.

A wieczorem, otrzymawszy posiłki katów, wiąże się tego człowieka tak, że jest tylko rzeczą, i w nocy przenosi się go na ten plac, płaczącego, wyjącego, błędnego, całego we krwi, błagającego o życie, wzywającego Boga i rodziców, gdyż, wobec śmierci, ten człowiek stał się znowu dzieckiem. (Poruszenie). Wciąga się go na szafot i głowa jego spada! – I wtedy dreszcz przenika wszystkie sumienia: nigdy mord sprawiedliwości nie ukazał się z większym cynizmem i nie wywołał większego wstrętu; każdy poczuwa się do współodpowiedzialności za tą ponurą rzecz, która się przed nim tu odbyła, każdy czuje w głębi swego sumienia to, co by się odczuwało, gdyby ujrzano we Francji, w pełnym blasku słońca, cywilizację, znieważoną przez barbarzyństwo! I w tej właśnie chwili wyrywa się z piersi młodzieńca okrzyk, idący z jego wewnętrzności, z jego duszy, okrzyk litości i trwogi, okrzyk wstrętu i okrzyk ludzkości; i za ten okrzyk mielibyście panowie go karać! Postawieni wobec tych strasznych faktów, które przed chwilą wywołałem przed waszymi oczami, wy mielibyście, panowie sędziowie, powiedzieć gilotynie: „Masz rację!” A miłosierdziu, świętemu uczuciu miłosierdzia: „Jesteś w błędzie!”

To niemożliwe, panowie sędziowie przysięgli!

Widzi pan, panie prokuratorze, mówię to panu bez żadnej złości czy zjadliwości, broni pan złej sprawy. Jakby się pan nie starał, wkracza pan w walkę z cywilizacją, z lepszymi obyczajami, z postępem. Ma pan przeciwko sobie wszystkie te zasady, w których cieniu od sześćdziesięciu lat Francja kroczy naprzód i każe światu maszerować; nienaruszalność życia ludzkiego, uczucie braterstwa dla nieświadomych, niewiedzących, dogmat poprawy, który zastąpił dogmat zemsty. Ma pan przeciwko sobie wszystko to, co umysł ludzki rozjaśniło, to, co w sercach drga: filozofię i religię. Z jednej strony Woltera, z drugiej – Chrystusa.

Jakby się pan nie starał przedstawić tę straszną pomoc, którą jakoby szafot niesie społeczeństwu, – społeczeństwo w gruncie rzeczy brzydzi się nią i nie chce jej. Jakby pan, panie prokuratorze i jakby wszyscy zwolennicy kary śmierci się nie starali – nie wybielicie starej kary talionu! Nie wybieli pan i nie wybielą oni tych praw ponurych, na których lśni czerwień krwi, spływającej od tyłu wieków ze ściętych głów.

Panowie, skończyłem.

Mój synu, spotkał cię dziś wielki zaszczyt; zostałeś uznany za dojrzałego do walki, do cierpień może, w imię świętej zasady prawdy. Od dnia dzisiejszego wchodzisz w prawdziwy wiek męski naszych czasów, to znaczy w walkę o prawdę i sprawiedliwość. Bądź dumny, choć jesteś zwykłym szeregowcem w służbie idei ludzkiej i demokratycznej: siedzisz na ławie, na której siedział Beranger, na której siedział Lamennais!

Bądź niewzruszony w twych przekonaniach i – niech to będzie moim ostatnim słowem – gdybyś potrzebował jakiegś myśli dla wzmocnienia twej wiary w postępek, twej wiary w przyszłość, twej wiary w ludzkość, twej nienawiści dla kary śmierci, twego wstrętu dla szafotu – pamiętaj, że siedzisz na ławie, na której siedział Lesurques!*

Wiktor Hugo siada na swym miejscu wśród nieopisanego wzruszenia i entuzjazmu publiczności. Wszyscy adwokaci spieszą uścisnąć mu dłoń. Prokurator Suin podnosi się, chce replikować. Ale nikt go nie słucha; rozprawa jest, z konieczności, przerwana na kilka minut. Wreszcie prokurator może przemawiać.

Replika prokuratora Suin

Wszyscy wiedzieliśmy, że usłyszymy człowieka, który bronić ma dwoje ukochanych dzieci: swego syna przede wszystkim, swą ideę następnie. Idea ta – powiedzmy to głośno – należy do całej ludzkości. Wszystkie głosy, za zniesieniem kary śmierci przemawiające, były jednocześnie głosami na rzecz

* Słynna omyłka sprawiedliwości z końca XVIII-ego wieku. Jean Lesurques, oskarżony o mord, został skazany i stracony (1796). Jego niewinność została później udowodniona.

społeczeństwa przemawiającymi. A czyż ja sam, panowie przysięgli, nie mówiłem wam, że uchylenie kary śmierci jest rzeczą tylko czasu i okoliczności? Tu rozszerzono krąg zagadnienia, cytowano różne autorytety, a pominięto milczeniem istniejące ograniczenia. Powołano się na obecność Boga, którego wizerunek się tu znajduje i który – Sam – był ofiarą kary śmierci. A przecież kara śmierci była uznana przez Ojców Kościoła. Jeżeli mówiono o śmierci Sokratesa, że była śmiercią sprawiedliwego, powiedziano o śmierci Jezusa Chrystusa, że była śmiercią Boga, ponieważ, zjawiwszy się z własnej woli pomiędzy ludźmi i mogąc się wznieść ponad prawo ludzkie, Pan Nasz, Jezus Chrystus, sam chciał się mu poddać.

Ten Bóg, którego śmierć tu wspomniano, powiedział: „Oddajcie Cesarzowi, co cesarskie”. Te słowa znaczą: oddajcie prawu, co mu należne, poddajcie się więc prawu, które szanować winniście. Montesquieu nie był zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci; występował on tylko przeciwko stosowaniu jej do przestępstw, które nie powinny być tak surowo karane. Święty Augustyn, którego zdanie przytoczone jest w dwunastym liście Pascala, powiedział, że jeżeli tylko Bóg mógł rozporządzać życiem ludzkim, powierzył on tę moc królom i republikom.

Sam Wolter miał na karę śmierci zapatrywania podobne, jak Montesquieu. Ganił nadużycia, ale nigdy nie występował przeciwko zasadzie.

Powiedziano, że gdyby Ludwik XVI-ty zniósł karę śmierci, nie zginąłby na szafocie. Nie chodzi tu o karę śmierci za przestępstwa polityczne; w polityce, jeżeli się chce pozbyć przeciwnika, to, wiecie panowie, że istnieją inne sposoby, niż używane w zwykłych wypadkach. Jeżeli o mnie chodzi, nie wątpię ani na chwilę, że gdyby pewna partia, której tryumfu nie chciałbym oglądać, zdobyła władzę, zniesienie kary śmierci na nicby się nie przydało. Nie można stworzyć praw, któreby uniemożliwiły powrót dni wrześniowych 1792 roku. Więc nie mówcie o zagadnieniu kary śmierci w dziedzinie politycznych przestępstw.

Mowa Wiktora Hugo była wspniana; chyłę głowę przed wielkim mówcą. Ale niech ojciec pozwoli sobie powiedzieć: tak, ma rację, zachęcając swego syna do pójsia w jego ślady, do kontynuowania jego tradycji, tradycji chwały i geniuszu; ale jednak, jeżeli w przykładzie, jaki ojciec daje synowi, znajdują się przypadki łamania prawa, zmuszony jestem powiedzieć synowi: „Zatrzymaj się! Idź świetlistą drogą sławy, po której idzie twój ojciec, ale nie wkraczaj za nim na ciemne ścieżki takiej walki!

Jeszcze słowo. W słowach Wiktora Hugo, gdy ten powiada, że widzi kata z tyłu, za fotelem prokuratora, zmuszony jestem stwierdzić nową obrazę. Przybyłem tu, do tego przybytku sprawiedliwości, dla zabezpieczenia niezależności sędziowskiej, gdyż nie chcę, by zniewagami powstrzymywano sędziów od spełnienia swych obowiązków. Z góry chciano osmażyć decyzje sprawiedliwości, kajdanami skuć sędziego: to jest atak, skierowany przeciwko prawu.

Teoria, tu przedstawiona, prowadzi prosto do zniesienia wszelkich kar, gdyż jeżeli życie ludzkie jest nienaruszalne, taką być winna również jego wolność; w ten sposób doszłoby się do odebrania społeczeństwu wszelkiego sposobu represji.”

Z kolei przemawiał adw. Cremieux, obrońca współoskarżonego redaktora Erdan. Po jego przemówieniu przewód sądowy zamknięto, sąd udał się na naradę. Po naradzie sąd ogłosił wyrok.

Erdan, redaktor odpowiedzialny „l’Evenement” został uniewinniony; Karol Hugo, po zastosowaniu okoliczności łagodzących, został skazany na 6 miesięcy więzienia i 500 franków grzywny. Ponadto sąd nakazał zniszczenie wszystkich zajętych numerów „Evenement” i ogłoszenie wyroku w prasie.

Sursis à l’execution de la peine – tymczasowe zawieszenie wykonania kary – nie było jeszcze podówczas znane we Francji; Karol Hugo musiał ten wyrok „odsiedzieć”.

W tekstach zachowano oryginalną pisownię